

Adam Wiaryga Minieski.

# Poza frontem

(Powieść z dni ostatnich).

20

— Co ja pocznę?! Co ja pocznę?!... Ojciec nie da się uprosić! Ja go znam!.. Nie kochał mamy i mnie nie kocha.. A ja za tego buldoga za nic! Za nic!.. Ach! Boże! Boże!..

Michnik z bezładnego opowiadania Józki zrozumiał tyle, że grozi mu rzecz najgroźniejsza... Jakiś nieznany rywal zamierza mu wydrzeć Józję, a ojciec jej usiłuje ją przymusić... Krew zalała mu mózg, zadygotały ręce z gniewu.

— Ja nie pozwolę, żeby panią ktokolwiek zmuszał!.. Panno Józko, ja nie dam pani temu... Ja go wprzód zabiję!.. Zamorduję!..

Józka wzruszyła ramionami ze zniechęceniem.

— E! h! zawracanie głowy. Zabiję! Zamorduję! Gadanie... Tęby mnie pan dopiero uczył! Pan by poszedł do kryminalu, a mnieby dużo z tego przyszło!.. Nie! Już ja widzę, że jestem zgubiona... przeklęta, czy co?..

— Panno Józko!.. Józko!.. proszę tak nie mówić! Ja obronię, doradzę, pomogę!..

— E! dużo mi pan tam pomoże!.. W pierwszej chwili to mi się tak coś zdawało... Leciłam do pana, jak wariatka... Dlaczego?.. Czy ja sama wiem, dla czego?.. Ale teraz widzę, że niema dla mnie ratunku... Utopię się chyba, albo w świat ucieknę, gdzie oczy poniosą... Jak zginać, to zginać!..

Głos Józki przechodził w łkanie.

Zerwał się silniejszy wiatr i jakby w odpowiedzi na słowa dziewczyny, zaszumiły żółte czarne sosny w lesie, do którego się zbliżali.

Wyrostali się teraz na rozkwitłe różowe wrzosiowiska, poprzetykane gdzieśgdzieś lilowymi dzwonkami. Od czasu, kiedy rozkwitły wrzosi, przychodzili tutaj często, bo Józka lubiła bardzo ten bezwonnny, kształtem misterny, barwą subtelny, a dziwnie zdrowy i silny kwiat jesienny.

Uroczę to były spacer, bo Józka zwykle bywała wtedy w doskonałym humorze. Zrywała oswojone pełne różowym kwieciem kiście wrzosi, układała z nich bukiety, a niekiedy, odbiegając dalej, szukała w niskiej, splecionej gęstwinie liści borowczanych spóźnionych jagodek, albo też upatrywała, czy wśród jasnozielonego mchu nie widnieją kędy niepozorny brązowy kapeluszyk „prawdziwki“.

Perlistę gamy naprzemian śpiewu, to śmiechu napępniały powietrze. Ale dzisiaj dziewczyna nie myślała o kwiatkach, ani o jagodach, lub grzybach ani o śpiewaniu. Osunęła się na jakiś napój zmurszały pięt drzewa i pochylała głowę. Rzwiane przez wiatr włosy opadały jej na twarz, a poprzez te jedwabiste, jasno-brązowe pukle sączyły się łzy duże, gorące i spływały na wrzosi.

— Józko!.. Józko!.. Józko!..

Józka czuła, że ją obejmuje męskie ramię niecierpliwie, a jednak nieśmiało, słyszała, że płynie ku niej szept gorący i tkliwy, niezliczone razy powtarzający jej imię... Nie reagowała na to wcale, może nawet nie zdawała sobie dobrze sprawy z tego, co się dzieje...

Obręcz ramienia męskiego zaciskała się coraz silniej, coraz goręcej... Józka powoli, z jakąś dzieciną ufnością, pochylała głowę na pierś Władysława i płakała dalej... Płakała, tak, jakby chciała wypłakać cały swój ból życia, wszystkie żale i tęsknoty młodego, niespokojnego, burzliwego serca... Zapomniała o tem, że ten czyje ramie opasuje ją tak silnie i pewnie, to mężczyzna obcy, młody i za kochany... Nie myślała o nim, bo z całą siłą tknęła w niej rozpacz, że oto jej młodość buja i kwitnąca iść może na zabicie... Ocknęła się dopiero wtedy, kiedy na ustach swoich, na oczach, zalanych łzami, poczuła rozpalone usta, kiedy postyszała i zrozumiała wyraźnie drżące miłością słowa:

— Józko!.. Józko!.. Najdroższa... najmilsza... nie płacz... nie płacz!.. Ja obronię... nie dam... kocham... kocham nad życie... nad wszystko!.. Słonko moje... kwiatku najcudniejszy... ptaszko moje ty biedny!.. Józko!.. słodka... złota... jedyna...

Szarpnęła się i silnym ruchem rozplotła opasujące ją ramiona. Zerwała się, ale ręce swoje pozostawiła w dłoniach Michnika, który, gniojąc kolanami wrzosi, kłęcząc i spoglądając jej w oczy wzrokiem błagalnym, zamglonym miłosnym wzruszeniem.

Łzy przestały płynąć Józce z oczu. Długą chwilę stała i, nie cofając rąk, wpatrywała się uważnie, z jakimś niezwykłym u niej skupieniem i powagą, w twarz Michnika, który już nie mówił nic, a tylko oczyma prosił i wyznawał.

— Panie Władysławie — odezwała się wreszcie głosem trochę drżącym — pan kocha mnie? prawda? Ale tak prawdziwie, poczywiście?..

— Pani pyta?... Pytasz... Józko!.. Czyż nie wiesz?..

— I pan chciałby ożenić się ze mną?..

— Józko! — ton tego okrzyku starczył za odpowiedź.

— No, to dobrze! To ja zostanę pańską żoną... Ale pan śmiało stanie przed ojcem i obroni mnie przed Stobińskim!

— Przed całym światem!.. Moja... moja...

Więcej mówić nie mógł. Ramiona jego w niemej, pokornej podziękach objęły kolana Józki. Gorące usta Władysława przywarły do chłodnego perka sukienki.

Józka uśmiechnęła się jakoś smętnie i łagodnie odsunęła go od siebie.

— Niech pan wstanie i pomówmy spokojnie... Muszę pana jeszcze o coś zapytać... Może zapytanie moje pana obrazi, oburzy... Ale zapytać muszę... Czy... czy... pan nie będzie żądał posagu?..

Michnik zerwał się nagle na równe nogi.

— J! k! pani może?! Skąd to pytanie?! Tak mnie krzywdzić... Józko!.. Jak można...

— Przepraszam pana — powiedziała bardzo miękko Józka, ujmując go serdecznym ruchem za rękę — ja wiedziałam, że pan mnie kocha bezinteresownie. Znam przecież pana, a jednak zapytać musiałam, bo wiem, że życie ma swoje twarde i brzydkie wymagania... no i znam mojego ojca... Wiem, o co mu chodzi...

— Józko!.. Józko!.. Jak ty mogłaś...

— Przepraszam — powtórzyła — gniewa się pan jeszcze? A może pan mnie już nie chce? — dodała z odbitym swojej figlarniej kokieteryi.

— Każda chwila życia mojego do ciebie należeć będzie... Niewolnikiem twoim będę, Józko!..

— Nie, nie trzeba! Bo dla niewolnika ja mogłabym być bardzo okrutną i despotyczną panią...

— Wszystko jedno, byleś tylko była moją...

Michnik pochwycił ręce Józki i do drżących ust swych je tulił, okrywał czułym pocałunkami.

Dziewczyna bierne, apatycznie niemal oddawała się tej pieszczocie.

Władysław wargi gorące od białych paluszków oderwał i głosem, nabrzmiałym miłością bezmierzą, pytał:

— Moja? Moja?... Na zawsze moja?... Prawda?..

Józka nie odpowiadała i spoglądała na niego teraz tak dziwnie, jakby go pierwszy raz widziała przed sobą.

Gdzieś z oddali wiatr przyniósł piosenkę, którą śpiewała sobie przy bydle jakaś pasterka:

Płynie woda płynie  
Szeroko po Wale,  
Próżno się zalecasz,  
Przemyślny me myśle!  
Co mi po pierścieniu,  
Jak go z palca znie,  
Co mi po chopaku,  
Kiedy go nie lubię,  
Za tym, co go lubię,  
Poszły bym we światy,  
Dałabym mu serce  
I złociste szaty...

Józka wyrwała nagle ręce z wiążących je dłoni młodzieńca i odskoczyła w tył. Rysy jej twarzy zmąciły się wyrazem jakiegoś obłądnego przestępcy, a oczy spojrzały bezprzytomnie prawie. I nie widziała nawet przed sobą szczerych, poczywanych, szarych źrenic młodego nauczyciela, ale szły ku niej oczy inne: ciemne, głębokie, magnetyzujące.

Jak fala wierna a powrotna, oblała ją żarem i przenosiła tęsknotą wspomnienie, innych pocałunków i innych słów miłosnych.

Och! Konrad! Konrad!..

Wyciągnęła ręce przed siebie, jakby pragnąc uchwycić złudną marę, która zawisała przed nią w czystym wrześnie powietrzu.

Michnik zbliżył się. Oczuła, że pomiędzy nim a Józką stanęło coś wrogiego, obcego... Przed chwilą miał ją tuż przy sobie — łagodną, dobrą, kochaną, a teraz patrzył na niego tak dziwnie i taka mu się zdawała daleka, jak nigdy przedtem... Nie domyślał się jednak, jakie wspomnienia szarpały sercem dziewczyny — sądził, że zbyt śmiało swoim zachowaniem spłoszył ją, obraził, rozgniewał...

W jednej chwili był znowu przy niej, ale nie śmiał już nawet dotknąć jej ręki.

— Panno Józko!.. Józko!.. Pani się gniewa... Byłem za śmiały... Przebac mi... daruj... Nie gniewaj się!..

Dźwięk głosu Michnika oprzytomnił Józję. Mara, wspomnienie rozwarło się gdzieś we głowie, a natomiast bardzo wyraźnie zasmiała się szyderczo i tryumfująco wstrętna twarz Stobińskiego. Wstrząsnęła się dziewczyna, przesunęła ręką po czole, a na poblądzie

jej policzki wypłynęły krople łez, jasne, czyste, duże. Temi łzami zęgnęła Józka tajemne marzenia swoje i nadzieje... Zadecydowała już...

Ruchem serdecznym, miłym, pokornym prawie, wyciągnęła obie ręce ku Michnikowi.

— Nie, ja się na pana nie gniewam! Za co? Pan taki dobry, zacny, poczywły!.. To było co innego... ale już przeszło i... może nie wróci... Panie Władysławie, będę pańską żoną...

— Jó! i!.. Tak ciągle chłodno... sztywnie... jak do obcego... panie i panie...

— Będę starała się być ci dobrą żoną — powiedziała posłusznie — ale bądź dla mnie pobłażliwy... wyrozumiały... bo ja czasem mogę być bardzo niedobra... zła nawet... Wiedz, że to prawda, co ludzie mówią o mnie, że jestem nieobliczalna i szalona czasem...

— Taką cię kocham, jaką jesteś... Byleś mnie tylko ty kochać chciała...

— Będę się starała...

Władysław nie zwrócił uwagi na te słowa chłodne i powściągliwe, za nadto upojony był szczęściem, które płynęło do niego niespodzianie, kiedy się najmniej spodziewał...

Józka uśmiechała się zupełnie już spokojna, tylko bardzo poważna i skupiona w sobie... W miłości bezgranicznej Michnika widziała cichą, miłą, bezpieczną przystań, która ją obroni przed burzami życia, przed ojcem, przed Stobińskim, a wreszcie przed sobą samą...

— Chodźmy — powiedziała łagodnie — wracajmy do domu. Trzeba powiedzieć wszystko Władysławowi, no... i ten u panu Stobińskiemu...

— J!-szcze chwilę — prosił Michnik — tak nam dobrze tutaj samym...

— Nie, nie! Idziemy! Chciałabym, żeby tamten wstrętny człowiek jak najprędzej sobie pojechał!.. Niech się dowie zaraz, że mam narzeczonego, który mnie obroni i nie odda nikomu!.. Prawda?

— Nikomu!..

— Więc chodźmy!

Ufnie wsunęła rękę pod jego ramię i poszli. On promieniejący, upojony szczęściem, ona spokojna i zadumana...

Nocny pociąg unosił pana Stobińskiego z powrotem w stronę Krakowa. Jednostajny turkot kół wtórował niewesołym wcale, spletanym myślom niefortunnego konkurenta do ręki Józki.

Przedział drugiej klasy pusty był, mógł więc Stobiński dowoli miotać się w gniewie, bić ścisniętą pięścią w poduszki kanapy i wyrzucać z ust przekleństwa i groźby. Dławiło go, szarpało nim poczucie bezsilności, boć faktu nie mógł zmienić. On odjeżdżał wysniany, wzgardzony, odepchnięty, a Józka pozostała w Zalesinkach z narzeczoną...

Stobiński stłumił siłą woli głuchy ryk, który rwał mu się z gardła, jak rozwścieklonemu zwierzęciu. Stracił nadzieję przekonania Józki, a z Władysławem, który miał wielce groźną i zdecydowaną minę nie pragnął wszczynać awantury.

Odjechał więc najbliższym pociągiem, ale nie znał to wcale, aby dał za wygraną... Przeciwnie, to, co się stało, podnieciło jeszcze jego ujęr. Zmysłowa miłość do Józki przechodziła w jakąś drapieżną nienawiść nieokiełznaną chęć zemsty. Stobiński tem silniej, tem namiętniej pragnął zdobyć Józję, aby ją upokorzyć, sponiewierać aby ugiąć tę piękną, dumną głowę dziewczęcą i na ustach purpurowych zdusić hardy, pogardliwy uśmiech...

Odpedziła go jak psa, gorzej niż psa!..

— Ona nie zakochała się w tym wiejskim prostaku, w tym chłopskim nauczycielu w złe skrojonym ubraniu i wykrzywionych butach!.. I co on jej dać może? Pęczak z grochem i mieszkanie w chałupie... A jednak przyjęła go, bo chce uciec odemnie! Dobrze, dobrze, moja panienko! Nie kochasz mnie — pięknie! Nienawidzisz mnie — cudownie! Brzydzisz się mną — jeszcze lepiej! Obejdę się bez twojej woli i miłości!.. Pogadamy sobie o tem, kiedy będziesz moją... Bo Stobiński nie z tych, co ustępują, przebaczą i zapominają!..

Starał się uspokoić trochę, aby ułożyć sobie chytry plan postępowania z Maliniewiczem. Postanowił, nie tracąc czasu, zaraz rano udać się do radcy i po swojemu rzecz mu przedstawić, zanim Józka zdąży napisać do ojca.

— Przed tobą mu, że córka zlekceważyła jego wolę. Zastraszę że ten hołysz wiejski leci na posag... Tego on się boi, jak dyabła w dy święconej. Maliniewicz zawiadzi Józję telegraficznie, a wtedy...

Pociąg biegł i biegł, zatrzymywał się na przystankach i w dalszą ruszał drogą. A Stobiński ciągle myślał o tem, co będzie wtedy, kiedy nareszcie osiągnie cel swoich pragnień...